№ 10.

Warszawa, dnia 5 Marca 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTEK Z PODRÓŻY

PO

AMERYCE PÓŁNOCNÉJ

Ameryka północna, w zewnętrznym swym kształcie, w rozdzieleniu ziemi od wody, gór od dolin, nadzwyczaj metodyczny przedstawia porządek. Wśród cudownéj rozmaitości obrazów, objawiających niezmiernie majestatyczny układ, dzieli się prawie równo na dwie ogromne przestrzenie, z których pierwsza zwolna pochyla się ku biegunowi, druga ku równikowi.

Ziemia pierwszéj połowy, prawie równą tworzy płaszczyznę, i nie ma w niéj ani wysokich gór, ani głębokich dolin. Wody wiją się tam bez ładu, rzeki mięszają się z sobą, łączą, rozłączają, znowu się spotykają, giną w tysiącach bagien, i tak błąkając się wśród wilgotnego labiryntu, po zakreśleniu licznych zwrotów, wpadają do morza biegunowego.

Wgłębi doliny płynie ogromna rzeka, do niéj ze wszystkich stron pędzą wody spadające z dwóch łańcuchów gór Alleganów; téj rzece Indjanie nadali dumne nazwisko ojca wszystkich wód, Missyssypi. Spoczywając na pokładzie gliniastym, spokojna lub wzdęta burzą, biegnie przeszło tysiąc mil, zanim wody swe zleje w otchłanie oceanu. W połowie swéj długości, ma już średniéj głębokości stóp 15, i dzwigając statki o 300 beczkach ciężaru, przyjmuje wody pięćdziesięciu siedmiu rzek spławnych, pomijając niezliczone mnóstwo strumyków, które ze wszystkich stron biegną zanurzyć się w jéj łonie.

Na około téj rzeki, przyrodzenie niewyczerpaną rozwija czynność, w miarę oddalania się od jéj brzegów, siły wegetacji wyczerpują się, ziemia jałowieje, wszystko omdlewa i umiera. Nigdzie wielkie wstrząśnienia ziemi nie zostawiły śladów widoczniejszych jak w dolinie Missyssipi. Na prawym brzegu téj rzeki, znajduje się niezmiernie równa płaszczyzna, zasłana ogromnemi pokładami ziemi roślinnéj przez bałwany oceanu pierwotnego nagromadzonemi. Olbrzymia wegetacja, o jakiéj nie patrząc własnemi oczami trudno powziąć wy-

obrażenie pokrywa te nieprzejrzane łany, zaopatrując zarówno obficie potrzeby tak ludzi jak liczne stada dzikiego zwierza i ptastwa. W miarę zbliżania się do gór, ziemia staje się wraz nierówniejszą i jałowszą, grunt rozdzierają tysiące rozpadlin, a skały pierwotne okazują się tu i owdzie jak sterczące kości skieletu, odarte z ciała ręką czasu. Piasek granitowy, kamienie różnych kształtów okrywają powierzchnię ziemi; latorośle niektórych roślin i krzewów gwałtem przedzierają się przez te zawady, dając obraz żyznego pola okrytego gruzami z obszernego gmachu.

Rozbierając te kamienie i piasek, łatwo spostrzedz zupełne podobieństwo między ich istotą i szczytami suchych i strzaskanych gór Skalistych. Wody bezwątpienia potopu, zepchnąwszy w swym biegu ziemię w dolinę, pociągnęły za sobą część skał samych, a strzaskawszy i potłukłszy jedne o drugie, zasiały podnóże gór skalistemi gruzami oderwanemi z ich szczytów. Dolina Missyssypi jest pod wszelkim względem najwspanialszem miejscem, jakie Bóg przeznaczył na mieszkanie człowieka, a jednak mimo tego przedstawia jeszcze obszerną pustynię.

Kiedy Europejczykowie przybili do brzegów Antylskich a później do strony Ameryki południowéj, sądzili w uniesieniu, iż dostali się do zaczarowanych krain, żyjących tylko w imaginacji poetów. Morze iskrzyło się ogniami zwrotnikowemi, przezroczystość zaś tych wód nadzwaczajna ukazała po pierwszy raz oczom żeglarza głębie nieznanych im przepaści. Płynąc bowiem, zdaje się że okręt szybuje w powietrzu, a gubiąc oko w kryształowym płynie, w śród ogrodów podmorskich, w których konchy i złote ryby świetnieją między wieńcami kwiatów, krzewów i roślin morskich w głębokości sześćdziesięciu sążni, upojony żeglarz cudownym widokiem, doznaje zawrotu głowy, i mimowoli wyciąga rękę, jakby go chciał wyrwać z głębokości wodnych otchłani.

Tu i owdzie widać małe wysepki, woniejące kwieciem, podobne do kosza z różami, pływających po spokojnéj przestrzeni oceanu. Wszystko w tych zachwycających miejscach zdaje się być przygotowanemi i soczystemi owocami, a najnieużyteczniejsze porywają i wabią oko świeżością i rozmaitością swéj barwy. W lesie cytryny i pachnące pomarańcze, dzikie figi, mirty, akacye, laury, róże posplatane kwiecistemi liniami; niezliczone mnóstwo ptaków nieznanych Europie jaśnieje purpurą i miesza zachwycające głosy z harmonją natury pełnéj ruchu i życia.

Ameryka północna w innym przedstawia się obrazie. Wszystko tam jest wspaniałe, poważne, uroczyste, jakby przeznaczone na mieszkanie rozumu i zimnéj rozwagi. Burzliwy i mglisty ocean otacza jéj brzegi, a osypują zaspy piasku albo granitowe skały. Lasy, co okrywają jéj brzegi, rozwijają liść posępny i melancholiczny, tworząc nieprzebyty gąszcz z sosen, świerków, dębów, dzikich oliw i laurów. Przebywszy tę pierwszą zaporę, wchodzi się pod cienie lasów środkowych, jaworami, katalpami, cukrowemi klonami sięgających prawie obłoków, w pośród których topole Wirginji splatają swe konary z konarami dębów, lip i jesionów.

Chociaż nie rozciąga się tu władza człowieka, olbrzymy te jednak padają pod siekierą czasu, aby gromadząc się jedne na drugie, butwieć i użyzniać ziemię. Wzdłuż drzew powalonych pną się rośliny powojowe i zioła wszelkiego gatunku, wciskają się i wcielają w ich prochy, podnoszą i zdzierają obutwiałą korę, co jeszcze je okrywa, torują drogi młodym podnoszącym się latoroślom. Lasy te odwieczną przechowują ciemność; tysiące strumieni, nie ujętych w karby przemysłu ludzkiego, utrzymują ciągłą wilgoć.

Zaledwie gdzieniegdzie można ujrzéć dzikie owoce i niektóre gatunki kwiatów. Grobowe milczenie przerywa tylko trzask walącego się dębu, szum wodospadu, ryk bawołów albo świst i szturm huraganu.

Na wschód rzeki Missyssypi lasy nikną powoli, a natomiast rozciągają się żyzne łąki bez granic. Czy natura odmówiła tym żyznym polom nasienia drzew? czy lasy, co je może kiedyś okrywały, zniszczyła ręka człowieka? — są to pytania, które przez najgłębsze badania nie zostały dotąd wyjaśnione.

Puszcze te jednak dziś coraz się więcéj ożywiające, i zaludniające pracowitem plemieniem zdobywców, nie były niegdyś zupełnie pozbawione obecności człowieka. Pod cieniami lasów albo wśród łąk niektóre pokolenia błąkały się od wieków, od ujścia rzeki Ś. Wawrzeńca aż do Delty Missyssypi, od Atlantyku do morza południowego. Dzicy zachowali rysy podobieństwa, świadczące o ich wspólnym początku. Zresztą różnili się od wszystkich znanych pokoleń. Nie byli ani biali jak Europejczykowie, ani żółci jak większa część Azjatów, ani czarni jak Murzyni. Ich skóra była miedzianego koloru, włosy długie i świecące się, wargi wązkie i kości policzków wyskakujące. Języki pokoleń dzikich różniły się między sobą w wyrazach, lecz wszystkie miały jedne prawidła grammatyczne, wcale różne od tych prawideł, na których ukształciły się mowy ludów starego świata. Język ich zdawał się być owocem nowych

kombinacji, i dowodził w swym układzie o pracy umysłu, do jakiéj teraźniejsi Indjanie mało są zdolni. Stan towarzyski tych ludów różnił się także pod wielu względami od tego, jaki widziano w starym świecie.

Wychowani na łonie puszczy, nie mieli pojęcia dobrego i złego, nie spotkano także u nich tego zepsucia głębokiego wyrastającego u narodów ucywilizowanych z niewiadomości i nieogłady. Indjanin nie zetknięty z ucywilizowaną Europą, był wszystko sobie samemu winien; jego cnoty, występki, przesądy były własném jego dziełem, jako wzrosłego w pośród dzikiéj i niepodległéj natury.

W czasie przybycia Europejczyków, mieszkaniec Ameryki północnéj, nie znał jeszcze ceny własności, i był obojętnym na wygody i przyjemności towarzyskie, zwykłe owoce szlachetnéj cywilizacji. Dalekim jednak był od zupełnego nieokrzesania dzikości przywiązanéj do jego nazwiska, które człowieka mało podnosi nad zwierza. Przeciwnie w jego postępowaniu panowała niezwyczajna skromność i grzeczność właściwa człowiekowi, co wiele ma i przez to wiele dobrego świadczyć może ludziom. Gościnny, a nawet miły i delikatny w pokoju, okrutny i nielitościwy w wojnie, Indjanin dla ocalenia obcego przybysza, którego gościł w swojéj budzie, gotów był wystawić się na największe niebezpieczeństwo, nawet na śmierć samą, byle nieść mu pomoc i obronę.

W bójce jednak srożąc się jak zwierz dziki, uchwyconego jeńca mordował z wyszukanem okrucieństwem, pastwiąc się nad nim z rozkoszą, obcą najdzikszemu nawet zwierzęciu.

Przybycie Europejczyków pomimo tak wielkiéj od nich różnicy, małe na krajowcach zrobiło wrażenie, i ani ich zadziwiło, ani przeraziło. Indjanin bowiem umiał żyć bez potrzeb, cierpieć bez narzekania i umierać z pieśnią na ustach.

Jak cała ludzkość, tak i dzicy ci krajowcy, wierzyli w lepszą przyszłość, i oddawali cześć pod różnemi postaciami Jedynemu Bogu i Stwórcy wszech rzeczy. Pojęcia i wyobrażenia o wielkich prawdach społecznych, były u nich w ogólności niezmiernie proste i filozoficzne. Jakkolwiek lud, który zastali Europejczycy, wydawał się pierwotnym, nie można jednak wątpić, że inny więcéj ucywilizowany i wyższy w każdym względzie, poprzedzał go w tych samych miejscowościach. Podanie ciemne, lecz żyjące powszechnie u większéj części pokoleń indyjskich, mieszkających nad brzegami oceanu Atlantyckiego, naucza nas, że kiedyś zajmowali oni stałe siedziby na zachodzie Missyssypi. Wzdłuż brzegi rzeki Ohjo i na całéj dolinie środkowéj dziś są jeszcze pagórki ręką ludzką sypane. Rozkopując je można znaleść często kości, narzędzia teraz nieużywane, broń i sprzęty metalowe wszelkiego gatunku, albo pomniki przypominające nieznane zwyczaje pokoleniom teraźniejszym.

Wszystkie te pamiątki muszą pochodzić z niezmiernie odległéj starożytności, oprócz bowiem mgławego podania, Indjanie o tych nieznanych a poprzedzających je ludach, żadnych innych nie posiadają wiadomości.

Zdaje się tylko, że wiele wieków po zniknięciu tych ludów musiało nastąpić, kiedy nawet żyjący na trzysta lat przed odkryciem Ameryki, nic nie pokazali, z czegoby można tworzyć chociaż domysły. Podania te, pomniki świata z czasów tak oddalonych ciągle znajdowane, nie udzielają wprawdzie żadnego światła, ale zawsze dowodzą, że żyły tam ludy nam podobne. Kiedy jednak przybyli, jaki był ich początek, ród, przeznaczenie, historja, kiedy i jakim sposobem wyginęli, nikt na to nie umie odpowiedzieć.

Ale kiedy badawczy umył odkrywa byt ludów znikłych z powierzchni ziemi, których nawet pamięć imienia się zatarła, zaginął język, chwała rozpłynęła się jak brzmienie bez echa, nie znalazł jednak ani jednego pomiędzy niemi, któryby nie zostawił grobów na pamiątkę swego przejścia. Ze wszystkich więc dzieł człowieka, najtrwalszém jest to, co maluje jego nicość, i kończy pielgrzymkę usłaną powszechnie z cierni, głodu i nędzy żywota. Grób to meta, do któréj wszyscy dążymy; każdéj minuty a nawet sekundy bliżsi jéj, rzadko jednak pamiętamy o nieodzowném naszém przeznaczeniu. Starannie odpychając myśl o nim, sumieniem frymarczymy, jak zdawkową monetą, mając go każdéj chwili na przedaż dla tego, kto da więcéj. Gdyby nadymający się w pysze światowéj dumni handlarstwem godności natury ludzkiéj, chełpiący się zdobytemi korzyściami, choć raz przebudzili spiącą w nich duszę, i spojrzeli w dół grobowy... świat zmieniłby barwę i rozweseliłby się uśmiechem radosci miljonów.

Chociaż obszerne ziemie Ameryki przy odkryciu, były zamieszkane przez liczne pokolenia miejscowe, słusznie jednak można powiedzieć że Indjanie ziemie te zajmowali, ale nie posiadali. Przez rolnictwo tylko człowiek przywłaszcza sobie ziemię, bo w niéj składa pracę swéj ręki i głowy, swój znój i trud, pierwsi zaś mieszkańcy Ameryki żyli tylko z polowania. Ich zastarzałe przesądy, namiętności niepohamowane, występki, a może jeszcze więcéj dzikie cnoty, poświęcały ich nieuchronnemu zniszczeniu.

Zguba tych ludów rozpoczęła się z dniem przy-

bycia Europejczyków na ich brzegi, nie ustawała potém nigdy i ciągnąc się bez przerwy, za dni naszych zbliża do końca. Opatrzność umieszczając ich wśród bogactw nowego świata, zdaje się że ich tylko na krótki czas używać pozwoliła. Pobyt ich był ciągłem oczekiwaniem przybyszy z nieznanego im świata, którzy mieli ich wyprzéć z zajmowanych siedzib i pomału wytępić.

Te brzegi tak jakby umyślnie przygotowane dla handlu i przemysłu, te rzeki tak głębokie, ta dolina Missyssypi niewyczerpanéj prawie żyzności ten stały ląd uważany w całości, ukazywały, się w ówczas jako próżna kolebka wielkiego narodu, który rzeczywiście powstał na gruzach przeszłości zawalonych trupami miejscowych mieszkańców, aby mieczem co mu posłużył do zdobyczy, obecnie mordował sam siebie i niszczył owoc wiekowéj blisko pracy.

Dziś więc rojna ludność zamieszkuje północną Amerykę, pierwiastkowi zaś jéj mieszkańcy, ustępują w głąb lasów i puszczy, naciskani coraz silniéj prądem wszystko ogarniającéj cywilizacji. Zmniejszając się rok rocznie w swéj liczbie, przedstawiają obecnie tylko szczątki dawnych wojennych pokoleń, zdumiewających zarówno surowością obyczajów, jak i okrucieństwem.

* * *

Zmienność i dziwactwo tegorocznéj zimy, tak są niezwykłe i mało praktykowane, że nie dziwcie się wcale, iż poraz trzeci, rozpoczynam od nich tygodniową z Wami pogadankę. Kiedy bowiem u nas Wisła już pozbywa się zimowéj skorupy, śnieg znika bez śladu, noce chrupią mrozem a dnie klapią błotem, w Paryżu jeszcze przed dniem 27 z. m. narzekano na nieznośne zimna, a w południowéj Francji w tym samym prawie czasie tak wielkie spadły śniegi, iż bieg pociągów na kolejach żelaznych został wstrzymywany, iż od wsi do wsi, musiano się dostawać przebojem, z rydlem i motyką w ręku.

Wyglądają też tam z wielką niecierpliwością marcowego słońca, a choć miesiąc ten znany jest powszechnie ze swéj niestałości, mają jednak nadzieję, że wybryczki zimy ukróci i przymusi do sforności i upamiętania.

Kurjer Niedzielny, który pomimo leciuchnéj swéj sukienki umie często poważnie i serdecznie przemówić, w ostatnim numerze pomieścił korrespondencją, poświęconą ubóstwu, z radą aby w domach posiadających liczne rodziny, i w jadalniach publicznych, w których zwykle pomimo oszczędności i dobrego zarządu wiele jeszcze zdrowego i posilnego pokarmu marnuje się bezpożytecznie, codziennie ofiarowano jednemu z ubogich posiłek, czem kilkanaście tysięcy prawdziwie biednych mieszkańców naszego miasta miałoby zapewnioną najważniejszą z potrzeb życia, taką, bez któréj nikt i w żaden sposób obejść się nie zdoła. Myśl to zacna, poczciwa i prawdziwie chrześcijańska, wątpię jednak, aby w pismach perjodycznych, jak tego pragnie i słusznie spodziewa się korerspodent, znalazła poparcie i rozpowszechnienie. Nie przez brak jednak dobrych chęci dla dobra publicznego, ale przez uporczywe trzymanie się nieznośnéj rutyny karmienia swych czytelników przedewszystkiem, nowinkami, ploteczkami, wiadomostkami, dziś głoszonemi za prawdę jutro zbijanemi, dziś wychwalanemi, podziwianemi jutro potępianemi i wyśmiewanemi. Jéj to stale hołdując, zawsze dają pierwszeństwo temu, co bawi i choć chwilowo zajmuje, i dlatego praktyczna myśl Kurjera Niedzielnego, ale nie bawiąca, niezawodnie pominięta zostanie milczeniem.

Gdyby radę tę można było poprzeć jakim faktem ekscentrycznym, małą sceną dramatyczną lub wreszcie skandalikiem, niezawodnie prassa zabrzmiałaby różnemi warjantami na temat miłosierdzia i cierpień ubóstwa, ale tak dać rzecz na sucho, to jakoś nudno i wcale nieciekawie.

Kilka miesięcy temu, komuś, najpewniéj zapalonemu stronnikowi obczyzny a nic nie znającemu naszych potrzeb i stosunków społecznych, przyszło do myśli zaprowadzić w Warszawie czyścicieli obuwia męzkiego tak jak to ma miejsce w ludnym i obszernym Paryżu. W tym celu w bramie hotelu Saskiego postawił kilkunastoletniego wyrostka ze szczotkami i szuwaksem ubranego schludnie i przyzwoicie, w téj zapewne nadziei, że chłopcu zapewni tem utrzymanie, a w mieście otworzy nowe źródło nieznanego zarobku.

Chęci rzeczywiście były dobre, ale zapomniano, że w Paryżu posiadającym więcéj robotników jak żądających od nich pracy, każdy pomysł dający biednym zajęcie, w miljonowéj ludności łatwo znajdzie poparcie, nie przez miłosiesdzie, ale w prost, z potrzeby. U nas zupełnie jest przeciwnie, na brak rąk pracujących skarżą się wszyscy rolnicy, rzemieślnicy i przemysłowcy; gdyby więc nawet dało się utworzyć kółko czyścicieli obuwia, zrobiłaby się tem krzywda i im samym i krajowi. W Paryżu bowiem wyrostki przy podobnem zajęciu, marnują młodość z musu

jako nie mogący inaczéj zapracować na swe utrzymanie, ale u nas mus ten nie ma miejsca, i każdy młody człowiek, aby tylko chciał znajdzie zawsze pomieszczenie przy roli lub warsztacie, z tą nadto pewnością, że uzdolniwszy się w obranym fachu chleba mu nigdy nie braknie.

Pisma jednak nie zważając na to, z wielką pochwałą ogłosiły zjawienie się chłopca ze szczotkami w bramie hotelu Saskiego i sypiąc uwielbieniem podziwieniem i zachętą, nie myśląc nawet o tém, że go kierują na próżniaka i wagabundę, cieszyły się, że Warszawa zaczyna pozór przybierać Paryża. Na szczęscie dla chłopca, po kilkodniowéj próbie, projekt nie udał się... chłopak znikł jak kamfora, gazety umilkły... rade niezmiernie, że czytelników swych przez dni parę zajęły nowością.

Faktów jednak pięknych, godnych największego rozgłosu nie brak na świecie. W Tyrolu np. przechowuje się zwyczaj obierania *Króla ubogich*, ale nie żebraków ulicznych i przy kościołach, po obławach staczających bójki w szynkach, tylko prawdziwie ubogich, którzy pomimo mozolnéj pracy żyją z dnia na dzień, oganiając się jak mogą ciągłemu brakowi. Kwalifakacją stanowi ciągła praca kandydata, nieposiadanie zasobu, nie mienie choćby najmniejszych długów, i ogólne przyznanie przez wszystkich opinji poczciwego człowieka. Gdy niedawno umarł taki Król ubogich, wyprawiono mu pogrzeb, ubogi także, ale niezmiernie liczny i zaszczycony obecnością wielu miejscowych znakomitosci. Po obiorze nowego Króla, w pośród radosnych okrzyków zawieziono dygnitarza w powozie starym na miejsce umyślnie przygotowanéj biesiady, a potém razem z podwładnym sobie ludem, zwiedzał wszystkie miejsca publiczne z napojem i jadłem, w których obdarzono ich trunkiem i jałmużną.

W Monachjum znowu corocznie rozdają służącym odznaczającym się pilnością, pracowitością i poczciwością postępowania srebrne i złote medale.

W roku zeszłym kobietom dostało się złotych pięć, srebrnych ośm, z mężczyzn tylko dwóch zostało ozdobionych. Różnica więc niezmiernie na nie naszą korzyść wypadła.

Obiór Króla ubogich, jest to zapewne zwyczaj powstały z jakiegoś miejscowego zdarzenia i utrzymujący się tradycyjnie bez zmiany: ale ozdabianie służących medalami pamiątkowemi to już nie zwyczaj ale instytucja, mogąca być wszędzie zaprowadzoną kiedyś, to na gwałt o podobnéj powinniśmy pomyśleć:

Wiadomo powszechnie o błogim zarządzie Stanisława Leszczyńskiego w Księztwie Lotaryngji, i o przeniesieniu przez tegoż w r. 1756 uniwersytetu z Pont-à Mousson do Nancy. Uniwersytet ten szczególniéj uczęszczany przez Polską młodzież, w czasie rewolucji francuzkiéj zamknięty został. W r. 1854 przez Cesarza Napoleona ustanowiono dwa wydziały, a w tym roku deputowani lotaryngscy powołując się na wspomnienia z błogiéj swéj przeszłości szczególnéj z czasów debrego Króla Stanisława, prosili o pozwolenie otworzenia fakultetu prawnego, przyjmując na siebie wszelkie koszta utrzymywania go, bez najmniejszego przyczyniania się rządu. Prośba chętnie przyjętą została.

Z działu chrześcijańskiego braterstwa i miłości na zabój, donoszą, że w Ameryce tak skrzętnéj w wynajdowaniu różnych przyrządów służących do wysełania gromadnego śmiertelników ziemskich na elizejskie pola, niedawno odbyto dwie próby z dwoma arcy ważnemi i pożytecznemi wynalazkami. Jedna była z ogniem nieugaszonym wodą, zwanym greckim, który w stanie płynnym wyrzuca się sikawką, a w stałym za pomocą armaty, druga dotyczyła balonu, mającego przewozić wojsko z wszelkiemi przyborami wojennemi, i posługiwać do toczenia bitwy powietrznéj i bombardowania miast. Obie próby wybornie się udały, i podobno Amerykanie cieszą się, że teraz już się nie będą zabijać pojedynczo, ale palić hurtem. kompanjami, pułkami, a najwarowniejsza forteca w kilka godzin rozsypie się w gruzy. I są tak uparci, co śmią ludzkość oskarżać o brak postępu cywilizacji, i serdecznéj wzajemnéj miłości. Barbarzyńcy...!

DO RODACZEK

(Przesyłając im grecką piosenkę, p. t. Czarownica.)

Kwiatek, co zakwitł na obcéj niwie,
Przesadzam na swojską grzędę,
Słuchajcież obcéj piosnki życzliwie,
Przyjmijcie obcą gawędę.

Skromnéj postawy malutki kwiatek
Przybył z dalekiéj krainy,
Wszak on gość przecie—więc od sarmatek
Niech dozna polskiéj gościny.

Rzuciwszy szklanne Bosforu wody
Zawisł nad Słuczy brzegami,
Gdzie niebo chmurne, mrozy i chłody,
Gdzie noc nie świeci gwiazdami.

Uschnie on pewnie, jak inne kwiatki
Obcy, nieznany, daleki,
Jeśli nie dozna tu od Sarmatki
Starannéj, bratniéj opieki.

Przez litość naszym Polkom wrodzoną
Szron z jego listków rozwiejcie,
Wzamian za skwarną ziemię straconą
Ciepłem go serca ogrzejcie.

CZAROWNICA

Pieśń Grecka

(*naśladowanie*)

Jeśli pojedziesz w me ojczyste strony,
Wstąp do wieśniaczéj zagrody
Gdzie rosną lipy, rozłożyste klony,
Gdzie wiek spędziłem mój młody.

Wejdź w progi skromnéj, słomianéj strzechy,
Siądź przy ognisku komina,
Pozdrów mą matkę słowami pociechy,
Pozdrów imieniem jéj syna.

Pożegnaj dziéwę o liljowéj twarzy,
Zwróć jéj ten pierścień złocony,
Niech dziś innego swoją ręką darzy,
Bo jam już dla niéj stracony.

Nie dla mnie oczy łzą smutku zamdlone,
Nie dla mnie śnieżne jéj lica,
Bo jam dziś pojął już inną za żonę
A żoną tą—czarownica

Która zaklina groźne morskie fale;
I rzuca urok na konia,
Że po dawnemu w rozszalałym czwale
Nie mogę hasać przez błonia.

Ona sprawiła że broń prapradziada
Już mnie od wroga nie chroni,
Mocą jéj czarów pióro dziś wypada
Z zimnéj sztywniejącéj dłoni.....

Kazimierz Jelita.

WIECZORNA CHWILA

SONET.

O jak miło spoczywać w uroczym drzew cieniu,
Kiedy promień omdlały niknącego słońca
Od zielonéj korony odbity, w milczeniu
Złotém skrzydłem zielone gałązki potrąca.

Błyszczą zwisłe pomiędzy listkami owoce,
Lekkim chłodem owiane podnoszą się zioła,
Tęskne ptaszę nad krzakiem pieszcząco świegoce,
Kwiatki wznoszą ku niebu niewinne swe czoła.

Cisza—przestrzeń owładła tchnieniem niezmierzoném
Czasem tylko kukułka żałośnie zawoła,
Czasem pszczółka zabrzęczy ulatując z plonem,

Lub z oddali doleci posępny szmer sioła;
I wszystko tchnie tak mile smutkiem rozmarzonym,
Jakby ziemię owiało westchnienie anioła.

Adam Maszewski.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Wesoły ten i pełen życia naród ze wszystkiego umie sobie stworzyć uciechę. Zaledwie, że mróz pościnał wielkie stawy lasku Bulońskiego, rój kobiet i mężczyzn różnego wieku spieszy tam, aby użyć ulubionéj ślizgawki na łyżwach. Ileż to śmiechu i wesołéj wrzawy, jeśli komu pośliznie się przypadkiem noga i upadnie na lodzie. Śliczny doprawdy widok przedstawia ta przestrzeń gładka, jak zwierciadło, a na niéj krążące tu i owdzie strojne tłumy kobiet, poprzebieranych, za Szwedki, Norwegianki, Węgierki, w Normandki i Polki słowem zupełnie inaczéj nisli na ulicach i bulwarach. Krótkie spódniczki, jaskrawéj barwy popodpinane w koło, wysokie buciki sięgające prawie do kolan, kapelusiki i toczki z powiewnemi piórami fantastyczną nadają im postać. Najwyższa nawet arystokracja, nie wyłączając Cesarzowéj, upodobała sobie tę rozrywkę. Co dzień téż dopóki trwały mrozy, nad uboczną sadzawką w Longchamp rozpalano ognisko, zastawiano przekąski, a dworskie pojazdy nadciągały tłumnie, przywożąc rodzinę Cesarską, otoczoną wspaniałym dworem. Cały Paryż, a raczéj cała próżniacza gawiedź Paryzka, przybiegała skwapliwie, chcąc się przypatrzyć temu świetnemu widowisku.

Krótko jednak trwały te harce; mróz zelżał, słońce stopiło lody, i po tygodniowych próbach gymnastycznych Paryżanki musiały rade nie rade pożegnać się z ulubioną ślizgawką.

Nadeszły ostatki: cały Paryż wyległ znów na ulice, obchodząc narodowy pochód tłustego wołu. Przez trzy dni tłumy ludu w maskach i bez masek snuły się po wszystkich stronach miasta. Odgłos trąb rozległ się w około, połączony z radosnym okrzykiem. Chłopcy roznosiły afisze z wizerun-

kiem wolni programem zapustnéj uroczystości, którą opiszemy tu w kilku słowach.

Rzeźnicy Paryzcy zakupują od okolicznych fermerów najpiękniejsze woły. Areopag ustanowiony umyślnie w tym celu wybiera sześciu z nich, wyznacza za ich wykarmienie odpowiednie nagrody, i w tryumfie obwozi je po ulicach i bulwarach. Co pół dnia wypada koléj na innego: wszystkie mają pięknie złocone rogi, i pokryte bogatą oponą, przystrojone w wieńce sztucznych kwiatów, stojąc na niskim wozie, uprzężonym w dzielną czwórkę koni, objeżdżają znakomitsze domy stolicy, zacząwszy od pałacu Cesarza, ministrów, i posłów zagranicznych. Za takie odwiedziny, wół a raczéj jego właściciel, otrzymuje kwotę pieniężną, wynoszącą przynajmniéj sto franków, za co rzeźnicy wyprawiają w ostatni wtorek świetną ucztę. Najpiękniejszy z tegorocznych wołów, który zaszczycił bytnością swoją Tuilleries, ważył 1300 kilo: co licząc po naszemu wynosi około trzech tysięcy funtów. Tryumfalny pochód otwiera kawalerja w dziwacznych strojach, naśladujących mundury wojskowe. Daléj postępują konno rozliczne dziwolągi, z oślemi, wilczemi i niedzwiedziemi głowami. Za niemi jedzie wół, a tuż za wołem na wozie ogromnéj wysokości, siedzą nymfy i boginie, a raczéj kapłanki, przybrane w lekkie gazy i kwiaty, pomimo mrozu i wiatru zimowego. Daléj jadą rzeźnicy w odkrytych pojazdach, wreszcie za niemi snuje się kilkunasto tysięczna gawiedź, podskakując i wyśpiewując wesoło. Na dziedzińcu Tuilleries, naliczono do trzydziestu tysięcy ludu. Kiedy wół zatrzymał się przed wspaniałą rezydencją Cesarza Napoleona, oboje Cesarstwo z synem, wyszli na obszerny ganek pałacu — a lud podrzucając w górę czapki i kapelusze, witał ich głośnemi okrzykami.

Uroczystość ta odwiecznéj podobno sięga starożytności. Jak utrzymują Francuzi, pochodzi ona z Egiptu, gdzie niegdyś na cześć wołu Apisa, obchodzono igrzysko Izydy. Był to więc pierwotnie obrzęd religijny który ze zmianą pojęć, zamienił się w doroczną zabawę zapustną.

Przez trzy dni Paryż zajęty swoim wołem, żył bezustannie na ulicy. W ostatni Wtorek zwłaszcza, pozamykano wszystkie prawie sklepy, i niepodobna było przecisnąć się w miejscach, przez które orszak miał przechodzić. Żal mi było szczerze, patrząc na skurczone i posiniałe kapłanki Izydy, siędzące na wozie tryumfalnym. Biedaczki najmują się podobno za pieniądze, na tę trzydniową uroczystość, którą przypłacają nie raz zdrowiem, a nawet życiem. W niedzielę z wysokości tronu swego, spoglądały dumnie na przechodzących, ale we wtorek, uważałam, jak jedna z kwaśną miną trzymała się za zęby—druga miała oczy jak królik, trzecia kaszlała bez ustanku i nic dziwnego, bo téż klimat nad Sekwanną, nie taki jak nad Nilem.

Dziś skończyło się wszystko, woły pobite i zjedzone; kapłanki chore na grypę, okupują drogo trzydniowy tryumf *Sic transit gloria mundi!*

Paryż dnia 12 Lutego 1864 r. S. P.

Opis deseni do haftu.

N. 1 Deseń na falbanę do obszycia kapy batystowéj

N. 2 Narożnik do chustki do nosa.

N. 3 Połowa kołnierzyka stojącego z wykładanemi rożkami z dubeltowego płótna. Na jednéj stronie haftuje się deseń na kołnierzyku stojącym na drugiéj części rożki które się wykładają.

N. 4 Mankiet płócienny do rękawka półbatystowego.

N. 5 Mankiet płócienny haftowany atłaskiem w połowie na dubeltowym a w drugiéj połowie na pojedynczem płótnie.

N. 6 Połowa kołnierzyka. Punkciki haftować można na dubeltowem płótnie resztę deseniu na pojedynczem.

N. 7 Deseń na kapę batystową do okrycia poduszki. Liście większe mają obwódkę dzierganą, mniejsze haftowane atłaskiem, w kółkach dają sią małe dziurki. Kapa powinna mieć szerokości 5 ćwierci, długości 5 i $^1/_2$ ćwierci falbana do niéj przymaszczona trzyma zwykle z każdéj strony 2 i $^1/_2$ łokcia długości, szerokości półtory ćwierci.

N. 8 Szlak do chustki od nosa nad gładkim obrębem.

N. 9, 10 i 11 Desenie do falbanek.

N. 12 Mankiet płócienny haftowany atłaskiem.

N. 13 Połowa Kołnierzyka.

N. 14 Deseń na falbankę.

N. 15 Narożnik do chustki od nosa.

N. 16 Deseń na wstawkę.

N. 17 Zęby dziergane na falbankę do kapy batystowéj.

N. 18 Litery M. C.

N. 19 Litery do znaczenia poszewek M. C. E. P. I. L.

Opis stanika Hiszpańskiego z klapkami
i stanika okrągłego z ranwersem.

N. 1 Przednia część stanika Hiszpańskiego.

N. 2 Boczek.

N. 3 Połowa pleców. Baskinę z tyłu formują cztery klapki niezeszywane aż do końca.

N. 4 Rękaw może bydź zupełnie gładki w pasze albo z jednym kontrafaldem pod epoletem.

N. 5 Całość stanika Hiszpańskiego ubrany rozetami szmuklerskiemi i aksamitką.

N. 6 Przednia część stanikami z otwartym ranwersem ze szkockiéj materji zapięty na guziki. Zdrugiéjstr ony przy szywa się rząd guzików co formuje zapięcie na dwa rzędy.

N. 7 Boczek.

N. 8 Połowa pleców.

N. 9 Połowa rękawa obłożona mankietem ze szkockiéj materji. Do sukien wełnianych używany jest tybet lub popelina w kratę.

N. 10 Całośc stanika z ranwersem otwartym. Pasek w stanie i szarfa rownież z materij szkockiéj.

N. 11 Epolet do rękawa.

N. 12 Naramiennik do stanika obszyty frendzlą sznelową albo koronką.

N. 13 Mankiet który się przyszywa na jednéj połowie rękawa odpowiednio przyozdobiony jak naramiennik.

N. 14 Całość stanika z naramiennikiem i mankietem spadającym nad szerokość rękawa koło ręki.

N. 15 Rękawek biały półbatystowy haftowany cienką czarną włóczką ściegiem przewłóczonym.

DONIESIENIA.

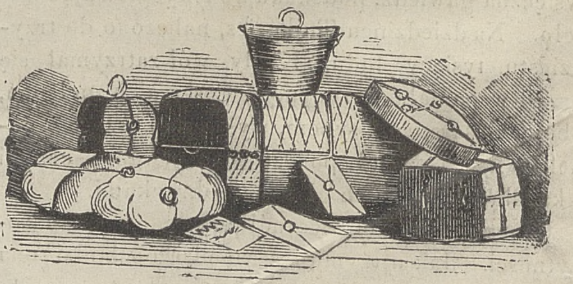
W Redakcji Tygodnika Mód można nabyć:

—*Książkę do nabożeństwa dla wieśniaków*, ułożoną przez Janka z Bielca, z dwoma rycinami, w oprawie mocnéj, ozdobnéj, za złp. 2 gr. 15; kupującym egzemplarzy 10, przesyłka nastąpi kosztem Redakcji.

—*Modlitwę poranną* Janka z Bielca, po zniżonéj cenie.

— *Obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj*, sztuka gr 3.

—*Alfabet duży i mały* do uczenia liter, arkusz gr. 3. Kupującym za złp. 10 ostatnich trzech wydawnictw, Redakcja takowe kosztem swoim prześle.



P. Karol. Swid. do prenumeraty pisma naszego brakuje Złp. 2 nadesłano nam bowiem tylko Złp. 61 gr. 10.

P. Bogusł. w Siniarzewie Złp. 6 gr. 20 na mszę przed Matkę Bozką w Częstochowie odebraliśmy.

Pasek aksamitny pocztyljoński kosztuje Złp. 40.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu i formy staników.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 10 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 5 Marca 1864 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M^ss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

Ojciec mój posiadał kilka chat we wsi Kingswell, która niegdyś była miasteczkiem; a ztąd używa przywilejów wyborczych. Kiedyśmy się pozbyli garbarni, Janek namówił robotników, aby się wynieśli z Norton-Bury, i zamieszkali w Kingswell, gdzie powietrze nierównie było zdrowsze.

— Powinieneś być dumny z czynszowników twoich Fineas, rzekł Janek, gdyż zupełnie odmienni od sąsiadów, którzy dzierżawią grunta lorda Luxmore.

— A którzy za staraniem Lorda, dodałem, wybiorą dziś pana Wermilye na członka parlamentu.

— Jeżeli im się uda przerwał Janek, zagryzając usta, z wyrazem silnego postanowienia na twarzy. Czy uwierzysz mój kochany, że mogłem w zeszłym tygodniu przedać domy twoje bardzo drogo, a to właśnie skutkiem przywilejów wyborczych, gdyż twoi czynszownicy tylko nie zależą od lorda Luxmore.

Łatwo to pojąłem, gdyż tego rodzaju intrygi powtarzały się wówczas w Anglji. Ludzie politycznego znaczenia przepłacali głosy wyborców, i obsadzali parlament według własnego interesu.

— Użyję całego mego wpływu, rzekł Janek, aby twoi czynszownicy nie ulegli pokusie. Wybory w Kingswell odbędą się niewątpliwie wbrew słuszności, każdy więc prawy Anglik powinien o ile może przeszkadzać takim nadużyciom.

— Czy tylko podołasz zbyt trudnemu żądaniu?

— Sprobuję, odparł Janek; naprzód sumienie nakazuje mi tak uczynić, a potem, jeśli pan Wermilye nie dostanie się do parlamentu, będzie musiał uciekać z Anglji, ścigany przez wierzycieli. Czy rozumiesz mnie?

Zrozumiałem wybornie, że Janek chce stanąć w opozycji przeciw Lordowi Luxmore.... od którego wydzierżawił fabrykę sukna w Enderly! ale wiedziałem, że kiedy idzie o słuszność, osobiste względy nic u niego nie znaczą.

Przybyliśmy zwolna na wzgórek, zkąd wzrok nasz ogarnął kilkanaście domóstw, a wpośród nich ujrzeliśmy odwieczny kościół, ocieniony lipami, porosły mchem wiekowym.

W téj chwili przejechał koło nas parokonny powóz, w którym siedziało dwóch panów: jeden z nich pokłonił się Jankowi.

— Chwała Bogu, rzekł, będę miał przynajmniéj do czynienia z zacnym i poczciwym człowiekiem.

— Któż to jest?

— Sir Ralph Oldtower, od którego kupiłem Longfield. Uważałeś klasyczne rysy jego twarzy? otóż i dusza jego równie piękna. Szanuję go, bo działa zawsze zgodnie ze swemi zasadami.

Tak rozmawiając przybyliśmy do wrót cmentarza w Kingswell: Janek zatrzymał mnie, ukazując prześliczny krajobraz, rostaczający się w około.

— Patrz na tę rozległą nizinę, na te żyzne łąki, poprzecinane lasem i urodzajne pola! Jakże cudne góry Walji! owiane siną mgłą, zamykają widnokrąg! Obraz ten przypomina mi dawne czasy, kiedyśmy czytywali razem Szekspira i innych ulubionych naszych poetów! Ale cóż to ja widzę? Jak się masz Macieju Holes! i któż cię to spoił tak rano?

— Człowiek którego Janek powitał, był jednym z naszych robotników. Spostrzegłszy pana swego, poniósł ręki do kapelusza, widocznie zawstydzony. Janek zmarszczył brwi groźno.

— Wiedziałem, że tak będzie, rzekł, wszystkich wyborców znajdziemy w takim stanie.

— Wszędzie powtarza się toż samo, odparłem. Co pomogą pojedyncze usiłowania przeciw ogólnemu złemu.

— Każdy człowiek obowiązany walczyć ze złem, jak może. Działanie wyrabia w nas siłę, a z jednostek składa się społeczeństwo.

Mówiąc to Janek, wszedł do wielkiéj sali w domu zajezdnym, gdzie się odbywały wybory. Sherif, Ralph Oldtower, siedział za stołem obok syna, z którym jechał w pojeździe. Po obu stronach siedzieli hrabia Luxmore i pan Brithwood z My-

he-House. W sali pełno było dzierżawców i rolników okolicznych. Weszliśmy cicho, ale Janek przerastał głową całe zgromadzenie; Scherif poznał go od razu, i powitał uprzejmie pokłonem, młody Herburt Oldtower i hrabia Luxmore uczynili toż samo; ale Ryszard Brithwood, udał że go nie widzi, i patrzał w inną stronę.

Od wielu lat nie spotkałem pana Brithwood; zmienił się też do nie poznania. Rysy jego dziwnie zgrubiały, twarz rozdęła się i poczewieniała, słowem poznać było od razu człowieka nałogowo oddanego pijaństwu.

— Proszę się uciszyć przy drzwiach, zawołał chrapowato Brithwood. A teraz Sir Ralph, kończmy rzecz, aby prędzéj wrócić na obiad do domu.

— Sir Ralph włożył okulary, obrócił się do okna i odczytał ustawy wyborów. Gdy skończył, obecni przywtorzyli słabym oklaskiem.

Szerif skinął głową, potem rozmawiał zimno lecz grzecznie z lordem Luxmore. Gdy skończyli mówić, Oldtower powstał, i oznajmił że Ryszard Brithwood przedstawia kandydata.

Owym kandydatem był Gerard Wermilyc. Posłyszawszy to nazwisko, jeden z obecnych rozśmiał się na głos, za co wyprowadzono go z sali.

Tomasz Brown, intetendent lorda Luxmore, poparł przedstawioną kandydaturę. Po kilku słowach zamienionych z Lordem, Sir Ralph powstał znowu.

— Panowie wyborcy, rzekł, w braku innych kandydatów, musimy ogłosić pana Gerarda Wermilyc....

Jan Halifax przystąpił do stołu.

— Sir Ralph, rzekł, przebacz pan, że przerywam, czy wolno mi powiedzieć kilka słów?

Brithwood zaklął chrapliwym głosem.

— Ha do wszystkich djabłów, zawołał, sądzę że Sir Ralph nie zechce słuchać tego człowieka.

— Przebacz mi pan, odrzekł Oldtower, powinienem go słuchać, jeśli ma prawo głosowania. Czy pan należy do wyborców z Kingswell?

— Nieinaczéj, należę.

— Odpowiedź ta nadzwyczaj mnie zdziwiła.

Brithwood zapamiętały w gniewie, wykrzyknął na głos, że to kłamstwo.

— On nie ztąd rodem, zawołał, podjęto go jako włóczęgę na ulicach Norton-Bury. Był żebrakiem złodziejem.

— Mylnie pan uwiadomiony, panie Brithwood, odrzekł spokojnie Janek, Panie Ralph, nie byłem nigdy żebrakiem, ani złodziejem. Służyłem u czynszownika, dopóki pan Tletcher nie wziął mnie do swojéj garbarni.

— Słyszałem o tem, odparł uprzejmie Sir Ralph. Po człowieku, który ma zaszczyt chlubić się szlachetnym rodem, najwyżéj cenię tego, który się nie wstydzi niskiego pochodzenia.

— Nie jestem zupełnie w tym wypadku, odrzekł Janek z uśmiechem, ale nie odchodźmy od rzeczy, winienem raczéj dowieść, czy należę do wyborców z Kingswell.

— Na czem pan opierasz swoje prawa?

— Znajdzie pan w karcie konstytucyjnéj zastrzeżenie, iż córka właściciela przekazuje prawa swoje mężowi. Otóż więc ojciec żony mojéj ś. p. Henryk Marek, posiadał grunta w Kingswell. Wywiodłem urzędowo moje prawa, i zapisałem się w księgę wyborców. Zapytaj pan pisarza.

Stary pisarz skinął głową potwierdzająco. Lord Luxmore okazał zdziwienie, ale zięć jego uniosł się gwałtownie przeciw temu *oszustwu*.

— Pomijam tak niewłaściwe wyrażenie, odparł Janek, dosyć mi na tem, gdy przekonam panów, że prawa moje....

— Jesteśmy o nich przekonani przerwał słodko lord Luxmor. Łaskawy panie, czy mogę go prosić o głos za przyjacielem moim panem Wermilyc?

— Mylordzie nie chcę łudzić go co do moich zamiarów. Jeśli będę głosował, to nie za kandydatem pana Brithwood. Panie Ralph dodał, zwracając się do Sherifa, wątpię aby pan Gerard Wermilyc mógł zasiadać w parlamencie, gdyby nawet został wybranym.

— Czynszownicy i wyrobnicy, którzy dotąd stali spokojnie na uboczu usłyszawszy znany dobrze głos Janka, ośmielili się i przyklasnęli panu swemu.

Pan Brithwood wściekły z gniewu, nie mógł wyrzec słowa. Lord Luxmor uśmiechał się szyderczo.

— Sądziłem panie Halifax, odezwał się wreście, że pan nie lubiłeś nigdy mieszać się do spraw politycznych.

— Tak, do spraw czysto politycznych, mylordzie; ale według wieści, jakie mnie doszły, sądzę że wybór pana Wermilyc, ubliża zarówno sprawiedliwości, jak dobrym obyczajom.

Głośny szmer dał się słyszeć w sali.

— Milczeć do wszystkich djabłów! zawołał Brithwood w uniesieniu.

— Jak widzę, panie Ralph, rzekł lord Luxmor, demokracja podnosi głowę w tych stronach. Nie sądziłem, aby lud chciał sam wybierać członków parlamentu.

— On ich nie wybiera mylordzie, odparł Sherif z dumą, ale rządzimy się zawsze według głosu ludu.

Panie Halifax, racz pan wytłomaczyć w krótkości, co masz przeciw kandydatowi pana Brithwood?

— Nie odpowiada najzupełniéj wszelkim wymaganiom prawa, odrzekł Janek, nie posiada trzystu funtów szterlingów rocznego dochodu, pozaciągał ogromne długi w Norton-Bury i innych stronach, wierzyciele ścigają go sądowo, i nie może inaczéj oswobodzić się od nich, jak zostając członkiem parlamentu. Dodajmy do tego oczywiste dowody, że przekupił pieniędzmi piętnastu wyborców w Kingswell. Sądzę, że po tych wszystkich zarzutach, żeden uczciwy Anglik nie zechce, aby pan Wermilyc, reprezentował go w parlamencie.

Głośne oklaski zagrzmiały w sali i za oknami; ośmielony lud nie szczędził obelg na piętnastu przedajnych wyborców.

— Panie Brithwood, rzekł pomięszany Sherif, nie wiedziałeś pan zapewne o tem, bo byłbyś zapewne przedstawił innego kandydata.

— Nie! do wszystkich djabłów, ale miasto należy do lorda Luxmor, mogę więc mianować samego lucypera, jeźli taka wola moja.

— Gdzież tu szukać naprędce innych kandydatów, rzekł z pomięszaniem lord Luxmore.

— Panie Ralph, zawołał Janek stanowczo, jako właściciel i mieszczanin tutejszy, mam prawo przedstawić drugiego kandydata.

Zdziwienie było powszechne. Od niepamiętnych czasów, nikt nie śmiał domagać się tego prawa, poszło więc w zupełną niepamięć. Sherif naradził się z pisarzem na uboczu.

— Muszę wyznać, rzekł nakoniec powstając, iż żądanie pana Halifaxa oparte jest na prawie, jakkolwiek wyszło już z używania.

— Jakto oparte na prawie! zawołał Brithwood zapamiętały.

— Tak jest, odparł Sherif. Proszę zatem o nazwisko osoby, którą pan Halifax chce przedstawić.

— Pewien jestem, że sąsiedzi moi potwierdzą chętnie ten wybór, odparł Janek. Oto przedstawiam pana Herburta Oldtower.

Sir Ralph powstał nadzwyczaj pomieszany.

— Spodziewam się, rzekł, iż nikt mnie nie obwini o poprzednie porozumienie się z panem Halifax. Ani ja, ani syn mój nie wiedzieliśmy o niczem, mogę ręczyć.

Młody Oldtower powstał i odrzekł z godnością, że przez wzgląd na konieczność przyjmuje niespodziewany zaszczyt.

W takim razie, odrzekł ojciec widocznie niezadowolony, muszę spełnić powinność moją, jako urzędnik królestwa.

— Przystąpmy do głosowania, zawołano chórem.

— Do głosowania? krzyknął Brithwood. Kingswell jest własnością mej rodziny, od stu lat nie zaszło tu nic podobnego. Panie Ralph, twój syn jest szalony.

— Szaleństwo nie zdarza się w rodzinie Oldtowerów, odparł spokojnie ojciec. Panowie dodał zwracając się do zgromadzonych, przystąpimy do głosowania po obiedzie, stosownie do życzenia, jakie wyraził mój sąsiad....

— Sir Ralph ma usłużnych sąsiadów, przerwał z szyderstwem lord Luxmore.

— Jakie wyraził mój sąsiad, powtórzył stary Oldtower, przyciskając na każdem słowie, pan Halifax, dla którego mam najwyższe poważanie.

Uczucie słusznéj dumy błysło na obliczu Janka. Słowa te wskazujące wobec wszystkich położenie jego w społeczeństwie, tem bardziéj mu pochlebiały, że wyszły z ust zasłużonego i nieskażonego człowieka.

Kiedy się zgromadzeni rozeszli, Janek prosił mnie, żebym powrócił do Longfield, i oznajmił Urszuli, jakie powody zatrzymały go w Kingswell.

— Powiedz jéj wszystko, co zaszło, dodał, to ją bardzo ucieszy.

W rzeczy saméj Urszula słuchała mnie z najżywszém zajęciem, oko jéj promieniało radością. Nalegała, abym jak najprędzéj powrócił do Janka.

Zastałem w Kingswell zgromadzony tłum ludu: od kilkudziesięciu lat nie zdarzyło się, aby ktokolwiek śmiał odrzucić narzuconego z góry kandydata. Piętnastu wyborców stało z dumą, pojąwszy po raz pierwszy znaczenie przywiązane do ich stanowiska. Janek rozmawiał z niektóremi z nich, pod wielką lipą na cmentarzu. Starał się przekonać ich, że głos człowieka powinien być wyrazem jego wewnętrznego przekonania, że przedajność w tym względzie, równą przynosi hańbę, jak frymarczenie czcią własnego dziecka. Pomiędzy słuchającemi go poznałem starego Jakóba Baines, niegdyś przywódcy buntu w Norton-Bury. Pracował on długo w garbarni, potem w młynie, dziś był jednym z najuczciwszych i najwierniejszych robotników Janka.

Głosowanie miało się odbywać w kościele, co niepomału działało na umysły pobożnych mieszkańców z Kingswell. Dzwonnik który miał zbierać głosy umieścił się w chórze; Sherif zasiadł w ławce niedaleko. Wszyscy obecni naśladowali poważną jego postać, wyjąwszy pana Brithwood i lorda Luxmore, którzy szeptali wciąż do siebie, uśmiechając się szyderczo.

Głosowanie rozpoczęło się z wielką uroczystością. Trzej dzierżawcy przekupieni przez lorda, oświadczyli się za panem Wermilyc.

Po nich wystąpił Jakób Baines:

— Czy wolno mi przemówić słówko, zapytał z pomięszaniem.

— Nieinaczéj odparł Sherif łagodnie.

— Panie, jam biedny człowiek, rzekł Jakób, mieszkam w jednym z domów mylorda. Nie byłem w stanie zapłacić komornego w tym roku; otóż pan Brown odezwał się do mnie w ten sposób: „Jakóbie głosuj za panem Wermilye, a daruję ci twój dług; masz jeszcze dwie gwinee w dodatku. Wtedy rzekłem do Macieja Hales, który otrzymał cztéry gwinee: „czyńmy tak jak mylord żąda, przecież Jego Wysokość nie wplącze nas w złą sprawę...."

— Hola, dość już téj gadaniny, przerwał pan Brithwood: daléj do głosowania.

— Tak, tak mój panie, odparł Jakób, ale niech się wprzód pozbędę tego, co mi cięży w kieszeni.

To mówiąc, wydobył złoto:

— Oto rzekł gwinee dane mnie, Wiljamowi Horoks, i Maciejowi Holes. Zmieniliśmy zdanie, prosimy więc pana Sherifa, aby je oddał mylordowi.

— Dobrze mój poczciwy Jakóbie, odrzekł wzruszony Sherif. Głośne oklaski dały się słyszeć w tłumie.

Lord Luxmore siedział w ubocznéj kaplicy zagryzając usta ze złości. Pewien był jednak, że mimo to, wpływ jego odniesie zwycięztwo. Zdziwił się więc niepomału, kiedy po skończonem głosowaniu, okazało się, żs z piętnastu głosów, sześć tylko padło za panem Wermilye, dziewięć zaś za Herburtem Oldtower. Ten ostatni obrany też został reprezentantem miasta Kingswel.

Lord milczał; pan Britwood za to nie żałował słów, ni pogróżek.

— To oszustwo! nikczemny spisek na nas.... Obalę ten wybór.... Przysięgam!...

— Niełatwo to przyjdzie, odrzekł Sir Ralph, wszystko odbyło się stosownie do wymagania prawa.

Hrabia Luxmor oddalił się pierwszy z zięciem; lud rozchodził się tłumnie. Sir Ralph odesłał naprzód powóz, sam zaś towarzyszył pieszo Jankowi. Jechałem za nimi konno, przysłuchując się pilnie ich rozmowie.

— Smutna to rzecz, panie Halifax, mówił Sherif, ale jakże na to poradzić? Nasza konstytucja doskonała, to jest o ile dzieło ludzkie może być doskonałem, jednak będą w niéj zawsze nadużycia. Opłakujemy je, ganimy, lecz przeszkodzić im nie podobna.

— Czy myślisz pan, odrzekł Janek, że Ten który stworzył świat, i wskazał mu drogę udoskonalenia, nie obraża się, gdy dzieło doskonałe zowiemy niepodobieństwem?

— Przemawiasz jak młodzian, odrzekł Sir Ralph smutno, przyszłość nauczy cię, czem jest świat?

— Spodziewam się tego.

Sir Ralph rzucił okiem na Janka, zazdrościł mu zapewne młodości; a może też przeczuwał w nim ducha młodéj generacji, przed którym dawna musiała ustąpić i rozsypać się w proch znikomy.

Pan Oldtower żegnając Janka, prosił, aby go wkrótce odwiedził po sąsiedzku. Oznajmił również, iż żona jego wybiera się do pani Halifax.

— Było to naszym obowiązkiem, odrzekł Janek, ale powiem szanownemu panu otwarcie, że żyjemy, po prostu; nie szukamy stosunków w świecie i pragniemy tylko żyć z dobremi przyjaciołmi.

— Wybornie, odrzekł Sir Ralph, i my tychże samych trzymamy się zasad.

To mówiąc, uścisnął serdecznie rękę Janka.

— Wiesz co, rzekłem, gdyśmy zostali sami, że dzień dzisiejszy stanowi ważną epokę w twojem życiu, wyrobiłeś sobie niepospolite stanowisko.

— Czy tak sądzisz, rzekł Janek, zrywając gałązkę z żywopłotu.

— Cóż powie na to twoja żona?

— Moja żona odparł, to dla niéj obojętne! poszła za mnie, kiedy nie miałem w świecie żadnego stanowiska... ale kiedyś..., jeśli Bóg pozwoli, żadna lady angielska nie będzie śmiała przewodzić nad moją Urszulą.

Mrok pomału zapadał; minęliśmy wzgórza, i niebawem błysło nam światełko z okien naszych.

— Radbym wiedział, czy dzieci poszły spać, rzekł Janek, patrząc z miłością na dach, pod którym kryły się najdroższe jego skarby. Ale co widzę? ktoś stoi przy bramie. To Urszula!

— Janku, zawołała drżącym głosem, jakże ci się powiodło?

— Wybornie! Pan Oldtower obrany, *tamten* musi wyjechać z kraju.

— Dzięki Bogu, *ona* ocalona!

— Mam nadzieję. Ale chodźmy do domu, drżysz jak widzę od zimna! Dzięki stokrotne Bogu, że nam dał to ciepłe i szczęśliwe ognisko!

(d. c. n.)